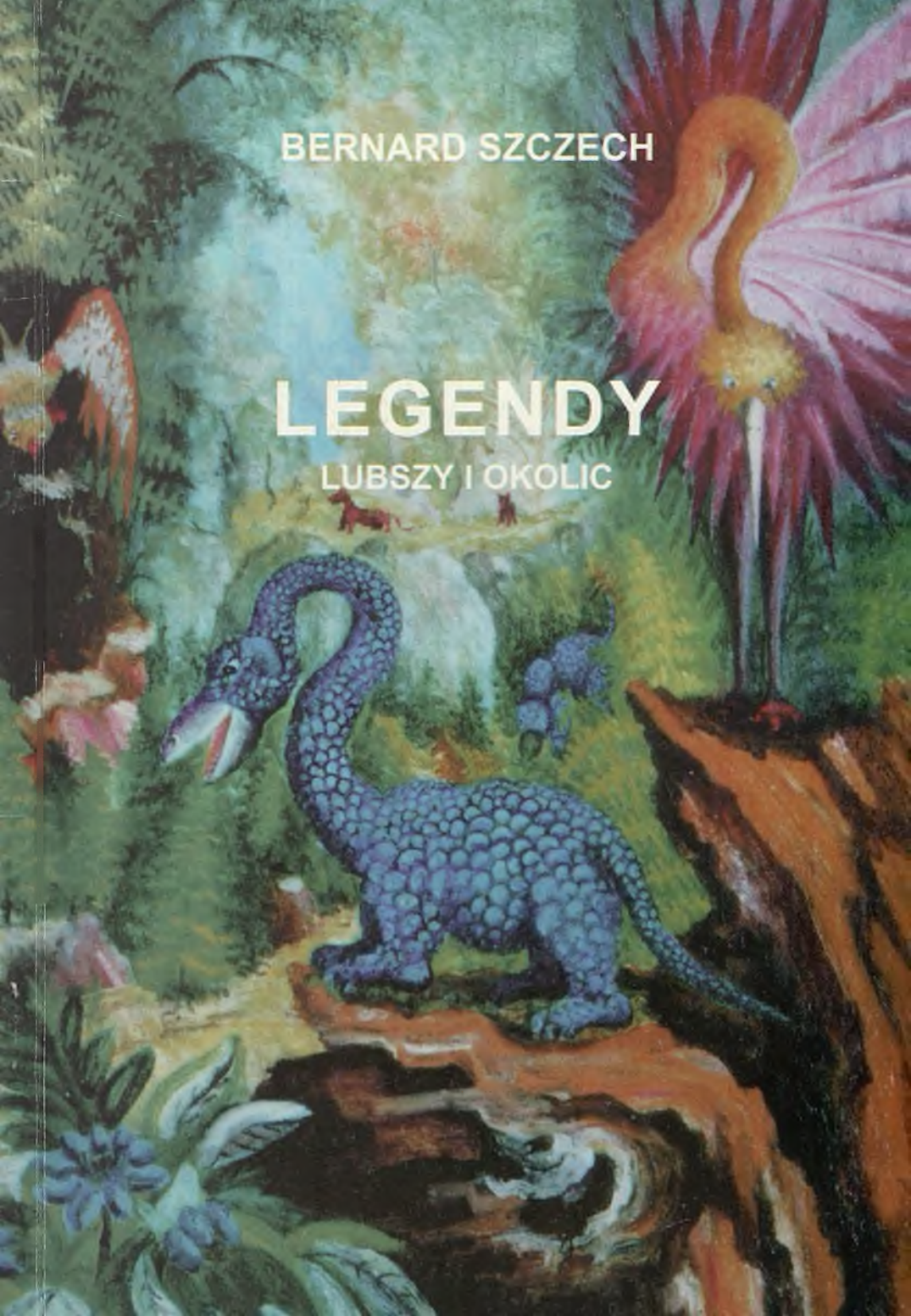




BERNARD SZCZECZ

LEGENDY

LUBSZY I OKOLIC

00129814

10

BERNARD SZCZECZ

LEGENDY

LUBSZY I OKOLIC

LUBSZA - ZABRZE

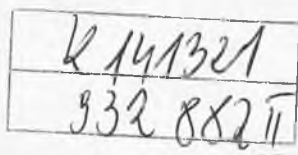
1998

SL 961

Wydawnictwo Muzeum Miejskiego w Zabrzu
Plac Krakowski 9 41-800 Zabrze
Tel. (032) 271 56 89
Fax (032) 271 56 80

Skład komputerowy:
Łukasz Szczech

ISBN 83-87436-11-9



0-00/398/4

30.03.



31

Spis treści

Słowo wstępne.....	5
Święty Wojciech na Górnym Śląsku.....	7
Tajemnice Grojca.....	8
Tajemnicza mogiła.....	11
O warzeniu soli w Psarach.....	11
O założeniu Woźnik.....	11
O kościele w Lubszy.....	13
O pochodzeniu Psar.....	14
Dzwon z Olszyny.....	14
Zatopiony dzwon.....	15
Strzyga.....	15
Babienickie baby.....	16
Grób dziedziców.....	17
Diabelskie kamienie.....	18
Dzwony i dzwonki.....	19
Koci Stok.....	20
Skarby Kamięńskich Młynów.....	21
Zaraza w Ligocie Woźnickiej.....	22
Tragedia Kotulińskich.....	23
Piwo.....	24
O lubeckim kościele.....	26
Skąd się wzięła nazwa Dobrodzień.....	27
Jak to mnich oszukał diabła.....	28
Klucznica.....	29
Utopiec.....	30
Córki utopca.....	32
Kościół przegrany w karty.....	33
Zbójnicki zamek.....	35
Żmijowy młyn.....	36
Dziecko i żmija.....	38
Byk czy Rybka.....	39
Tajemnice Wieszowy.....	41
Żywcem zamurowana.....	42

Słowo wstępne

Kilka lat temu, na łamach „Gwarka”, tygodnika ukazującego się w Tarnowskich Górach, który swym zasięgiem obejmuje znaczną część Górnego Śląska, prowadziłem cykl tak zwanych „Gwarkowych legend”. Będąc uczuciowo związany z krajem swego dzieciństwa, okolicami Lubszy i Woźnik, swym krajanom chciałem przybliżyć cząstkę duchowego bogactwa ich przodków, bogactwa podań ludowych, których tak wiele dotrwało do czasów nam współczesnych. Podstawowym źródłem informacji były teksty Józefa Lompy (1797-1863), nauczyciela i organisty w Lubszy, umieszczane w dziewiętnastowiecznej prasie, bądź w zachowanych zapiskach pomieszczonych w jego Razmaitościach szląskich. Znaczną część opublikował Instytut Śląski w Opolu tomie I, Tekstów folklorystycznych ze zbiorów Józefa Lompy, pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego p.t. „Bajki i podania. (Wrocław - Warszawa - Kraków 1965). Innym źródłem była dla mnie rękopiśmienna „Mała historia parafii Lubsza”, napisana przez „Łucję”, udostępnioną mi przez lubszeckiego farorza, księdza Lucjana Kolorza, za co mu szczerze dziękuję. Wiele legend znałem z opowieści mojej ciotki Any (Anny Szczech) i ujka Lorynca (Wawrzyńca Badurę), w latach młodości niepoprawnego poszukiwacza skarbów, a to co jest mnie wiadomym, który nigdy nic nie znalazł.

Do wydania tekstów namawiano mnie od dawna a przekonali mnie dopiero naocznie oglądane wycinki z „Gwarka”, przechowywane przez czytelników tego pisma w odległej Westfalii i Nadrenii.

Bernard Szczech

Święty Wojciech na Górnym Śląsku

Tysiąc lat mija od chwili, gdy nasze górnośląskie ziemie przemierzał Wojciech Sławnikowicz, biskup praski, apostoł Prus, święty męczennik, który jak głoszą podania, miał pozostawić na naszym terenie rozliczne ślady swej działalności misyjnej. W tradycji ustnej zachowało się wiele śladów wiążących pobyt i działalność św. Wojciecha z licznymi miejscowościami Śląska i innych historycznych krain Polski. Wiele z tej tradycji utrwalił Józef Lompa (1797-1863), nasz rodziły historyk i etnograf.

Święty Wojciech, który w trakcie swej działalności apostołskiej na terenie Prus poniósł śmierć w roku 997, dwa lata wcześniej miał przybyć do Opolu, gdzie na pagórku, jak podają przekazy, głosił kazania licznym rzeszom wiernych. Na miejscu tym, stanęła po latach kaplica Najświętszej Panny Maryi, na cześć której, ułożyć miał nasz święty prastary hymn Bogurodzicę. Kaplica wraz z kościołem, noszącym imię naszego świętego, według tradycji, ma być najstarszą chrześcijańską świątynią na tym terenie.

Nasz święty, po pobycie w Opolu, przybył do Dobrodzienia, gdzie podobno kazanie wygłosił. Na pamiątkę tego wydarzenia postawiono figurę świętego nad studzienką, która, jak podania głoszą, swój początek wzięła z chwilą przybycia świętego apostoła na to miejsce. Do figury tej, w odpust św. Wojciecha, przez setki lat, podążali corocznie dobrodzieńscy mieszkańcy w modlitewnej procesji.

Jak powiadano, Sławnikowicz przybył do Dobrodzienia w chwili budowania kościółka drewnianego. Kościółek, jak i jego budowniczych pobłogosławił oraz przepowiedział, że dopóki tkwić w nim będzie choć jeden kołek, tak długo miejscowość zarazy nie doświadczy.

W okolicy Dobrodzienia miał także głosić kazania i nauczać w Wojciechowie, miejscowości nazwanej na cześć świętego.

Z Dobrodzienia, święty Wojciech udał się do Lubszy, gdzie na Lubszeckiej Górze, w miejscu pogańskiego ofiarnika, nauczał wiernych. Na pamiątkę tego wydarzenia w lubszeckim kościele obchodzi się odpust świętego Wojciecha. następnie poszedł do Radzionkowa, miejscowości, która na cześć pobytu świętego przybrała imię św. Radzima, brata wojciechowego. Z Radzionkowa szlak misyjny poprowadził naszego świętego do Krakowa. Jak podaje Lompa w swych przekazach, jeszcze w początkach XIX wieku, lud górnośląski opowiadał, jak to żaby świętemu Wojciechowi swym skrzeczeniem w modlitwie przeszkadzały. On zaś nawet się nie zdenerwował, tylko tak im paszcze pozamykał, że przed dniem św. Wojciecha rzegotać nie mogą. A jeżeli się już odezwą, to tyle dni po świętym Wojciechu, ile dni wcześniej słyhać je było, głosu wydobyć nie mogą.

Tajemnice Grojca

Pośród lublinieckich lasów, niespełna dwadzieścia kilometrów na północny wschód od Tarnowskich Gór, wznosi się pasmo wzgórz owianych wieloma legendami. Po Górze Lubszeckiej najbardziej wyniosłym i nie mniej tajemniczym jest Grojec, góra, która nazwę swoją, jak głoszą legendy, wywodzi od istniejącego w tym miejscu grodziska, zbudowanego przed setkami lat.

Już w pierwszej połowie ubiegłego wieku Józef Lompa tak wychwalał zalety Grojca: "...Wart jest Grojec, aby go w lecie odwiedzać. Cała prawie góra składa się z wapiennej skały i lubo jest tylko cienką warstwą czarnej ziemi pokryta, tak że miejscami nagie kamienie z niej sterczą, wszakże jest gęstymi drzewami i krzewinami odziana, zaczęm ją rozliczne zioła i kwiaty zdobią, a przy tym proste i kręte chodniki przeszywają i do wierzchołka prowadzą, gdzie sobie na ławach darniowych spokojnie odetchnąć i o troskach i kłopotach ziemskich na chwilę zapomnieć można. (...) historia o tej górze nic nie

wspomina, utrzymuje się o niej od niepamiętnych czasów gminne podanie, że tu sływał gród warowny...”.

Próżno byłoby dzisiaj szukać śladów starego grodziska. Pokazuje się miejsce, gdzie miała być główna komnata tak wielka, że można w niej było karocą zaprzężoną w cztery pary koni zawracać. Nie opodal niej, głęboki dół w skale, głazami i ziemią zasypany, to pozostałość zamkowej studni, która wodę krystalicznie czystą w czasie oblężenia dawała. Inni w zapadliskach doszukują się przebiegu podziemnych, zamkowych chodników, którymi w przeszłości udawali się w różne strony obrońcy warowni na Grojcu. Najwięcej śladów po lubszeckim Grojcu zachowała jednak tradycja ludowa w swych rozlicznych podaniach.

Istnieje kilka legend różniących się szczegółami, które wyjaśniają okoliczności zagłady Grojca, mającej miejsce w nieokreślonym czasie po najeździe Tatarów.

W 1848 roku na łamach „Dziennika Górnośląskiego”, wychodzącego w Bytomiu, a następnie w 1856 roku w „Gwiazdce Cieszyńskiej”, opublikowana została następująca wersja legendy: „...Po zniszczeniu (miasta w miejscu dzisiejszych) Psar, mieszkał na Grojcu majętny Pan, ojciec córki jedynaczki, nadzwyczajnej urody. Ubiegało się o nią wielu młodzieńców, którym równość stanu na przeszkodzie nie stała, atoli ona wszystkich od siebie oddalić potrafiła. Ta okoliczność, a że dziewica nigdy do kościoła lubszeckiego chodzić nie chciała i podczas gdy rodzice jej na nabożeństwie przebywali, ona haftowaniem rycerskich pasów się trudziła, to dziwiło wielce rodziców. Jednej niedzieli postanowili rodzice wziąć koniecznie córkę swoją do kościoła, do czego ją jednak wszelkimi namowami skłonić nie zdołali, albowiem wybiegami różnymi się opierała. Krnąbrnością córki zniecierpliwiona i największym gniewem zapalona matka rzekła tedy: Otóż ja widzę, że z piekłem w przymierzu stoisz i dlatego nie chcesz do domu Bożego chodzić. Przeklinam Cię przeto! Bądź na wieki potępiona! Zapadnij się w przepaść z całym zamkiem, nim się

powrócę, abym Cię już nigdy nie oglądała! Ciężką klątwą niby błyskawicą rażona, stała panna jakby skamieniała, nie mogąc ust otworzyć, aby usprawiedliwieniem swoim zagniewanych rodziców ułagodzić, którzy się spieszenie oddalili. Rodzice szli do kościoła lubszeckiego podsieniem drewnianym, dziewczyna walczyła z sobą w nieopisanym żalu i zbierała się iść za rodzicielami. Wprawdzie nie zapisała się ona księżęciu piekielnemu, węzły miłości krępowały ją tylko do grodu, zaczęli się rodzice do kościoła nie oddalili. Dawno ona już żyła w przyjaźni z pięknym i walecznym młodzieńcem, synem jednego z zubożałych okolicznych dziedziców. Nie mogła go jednak kochankiem swym mianować, albowiem rodzice jej nigdy by nie zezwolili na małżeństwo syna znienawidzonego sąsiada. Z tej to też przyczyny, spotykali się młodzi w pobliżu kapliczki św. Krzyża na Ślęczkowych polach, aby tam młodzieńca w rozmowach pocieszać, myśląc, że niebo marzenia złączenia serc ich ziści. Tym razem nie oglądała już dziewczyna swego ulubieńca. Zaledwie co rodzice do kościoła lubszeckiego wstąpili, huk wielki powstał pod zamkiem i w przeciągu chwili zapadły się do wnętrza góry przepiękne budowle lubszeckiego Grojca. Rodzice powracając i widząc przeogromną dziurę w miejscu zamczyska, zapłakali się nad losem córki. Ojciec zaś rzekł: Tu na grobie mego jedyne dziecko, przenigdy nie postawię nowego mego mieszkania. Wskazując sąsiednią górę, rzekł: „Lubsza” mi owa góra będzie, po czym się tam do drugiego zamku przesiedlił. Od tego czasu tylko duch nieszczęsnej dziewczyny, około północy, w postaci białej otulonej osoby, nad Grojcem się pokazuje i chmury deszczowe nad jej czołem się unoszące rozgania, aby gorze wilgoci nie udzielały.

Tajemnicza mogiła

Do niedawna na Lubszeckiej Górze w gęstych zaroślach, tam gdzie ostały się jeno w dużej ilości gruzy piaskowca, stał tajemniczy, baniastego kształtu kamienny pomnik, z wyrytym napisem „Miller”.

Jak chce prastare podanie, w tym to miejscu znalazł wieczny spoczynek, dowódca wojsk szwedzkich, które w 1655 roku szturmowały klasztor na Jasnej Górze. Nieugięta postawa obrońców sprawiła, że Szwedzi odstąpili od oblężenia i nękani przez Polaków odeszli na południe .

W jednej z potyczek śmierć dosięgła także dumnego szwedzkiego wodza Millera, którego jak powiada inna prastara legenda, pochowano w dobrach ówczesnego dziedzica Lubszy, Baltazara Frankenberga..

O warzeniu soli w Psarach

Na ziemiach śląskich wydobywano różne minerały; brakowało tylko soli, którą dawniej sprowadzano z Bochni i Wieliczki. Transportowano ją szlakami od Bochni i Wieliczki przez Bytom - Opole - Wrocław oraz Olkusz - Siewierz - Lubszę - Lubliniec - Lubecko - Oleśnicę i dalej na zachód.

Wysokie ceny soli powodowały jednak, że na Górnym Śląsku usilnie jej poszukiwano. W Psarach, koło Piasku, była łąka zwana Solarnią. Jak zanotował Józef Lompa, starzy ludzie powiadali, że było tam źródło słonej wody, którą wydobywano a następnie warzono i sól z niej otrzymywano.

O założeniu Woźnik

Dawno, dawno temu, tam gdzie dzisiaj tylko rozpadliska krzewami i lasem porośłe, na wyniosłym wzgórzu Grojec, stał potężny zamek, otoczony obronnymi murami i wieżami.

U podnóża góry przycupnęły liczne osady służebne, a tam gdzie dzisiaj wioska Psary jest położona, znajdowała się duża osada targowa, ludna niczym miasto.

Kiedy w 1241 roku wpadły na Górny Śląsk hordy Tatarów, ludność okolicznych wiosek znalazła schronienie w gościnnych murach lubszeckiego Grojca. Z zamku prowadziły liczne tajemne wyjścia i podziemne chodniki, bądź to w wapiennej skale wydrążone, bądź to drewnem i wierzchem darnią pokryte. Służyły one różnym celom: a to aby zaopatrzenie zgromadzonej ludności dostarczyć, niespodziewane ataki na wroga urządzić, kurierowi wolną drogę uczynić, a w ostateczności ewakuację obrońców umożliwić.

Tak też było pamiętnego roku 1241, kiedy to na Grojcu jako i na podgrodziach kamień na kamieniu nie pozostał. Z zamku ewakuowano najpierw kobiety i dzieci na mokradła, tam gdzie dzisiaj kościółek drewniany św. Walentego pod Woźnikami stoi. Później schronili się tam chłopci z podgrodzia. Na koniec ocaleli obrońcy, którzy po przejściu podziemnym gankiem schronili się w zamku zwanym „Sworzec”, wybudowanym na wschodnim stoku Lubuskiej Góry. Wieść o gromadzącym się w pośpiechu rycerstwie śląskim pod sztandarami Henryka Pobożnego, spowodowała, że Tatarzy odeszli na Dolny Śląsk.

Ocaleni uchodźcy założyli na skrawkach suchego gruntu, otoczonego mokradłami, wioskę, którą z uwagi na główne zajęcie osadników nazwano Woźnikami. Przebiegający w pobliżu szlak handlowy dawał woźniczanom możliwość łatwego zarobku. Dostrzegł to także książę opolski, do którego przynależały te ziemie. Założył on najpierw stację celną, a później przeniósł osadę w inne miejsce, tam gdzie dzisiaj woźnicki Rynek się znajduje, oraz nadał Woźnikom prawo miejskie. W ten sposób stały się osadą miejską, najbardziej oddaloną od stolicy księstwa, którą wtedy było Opole.

O kościele w Lubszy

Przy głównym trakcie z Tarnowskich Gór do Częstochowy, mniej więcej w połowie drogi, znajduje się prastara wieś Lubsza, a w niej gotycki kościół pod wezwaniem świętego Jakuba Starszego. W tradycji lokalnej z pokolenia na pokolenie przechodziła wiadomość, że obecna świątynia zbudowana została na miejscu wiele starszego drewnianego kościółka.

Jak głosi podanie, pierwotnie kościółek chciano wybudować na pobliskiej, wyniosłej górze. Zwieziono tam przeto cały budulec, ale on, nie wiadomo dlaczego, sturlał się ze stoku w to miejsce, gdzie obecny kościół stoi. Zwieziono go więc ponownie i jeszcze trzeci i kolejny raz, ale za każdą próbą sytuacja się powtarzała. Postanowiono wtedy wybudować kościółek w miejscu, do którego nieustannie staczało się drewno.

Lubsza, położona w pobliżu granicy śląsko-małopolskiej, narażana była w przeszłości, a zwłaszcza w średniowieczu, na częste najazdy pograniczne. Właśnie w czasie jednego z takich najazdów zgorzał drewniany kościółek. Aby lepiej zabezpieczyć lubszecką świątynię przed ogniem, zdecydowano wybudować kościół murowany, z polnego kamienia, który w znacznej ilości naniósł na okoliczne pola lodowiec.

Kiedy wznoszono wieżę, zauważył to diabeł, który akurat w tych stronach szukał nowych duszyczek. Nowo budowany kościół rozzłościł diabła nie na żarty. Złapał więc ogromny kamień i poleciał w stronę Lubszy, by rozprawić się z prowadzoną budową. Gdy lecąc nad Lubszę, przelatywał nad Lublińcem, zapiał kur z wieży miejscowego zamku. Przestraszony diabeł wypuścił kamień, który spadł na Sadow i leży tam po dziś dzień. W przeszłości ta część Sadowia od tegoż kamienia, „Kamieniem” zwana była, czego dowodem są zapiski w księdze uposażenia biskupów wrocławskich jako i w innych średniowiecznych dokumentach.

O pochodzeniu Psar

Bardzo dawno temu stał na górze Grojec potężny zamek, u podnóża którego zbudowane były liczne podgrodzia. Największe z nich, pełniące rolę osady targowej, do której podążali kupcy z różnych krain, było tam, gdzie dzisiejsza wioska Psary się znajduje. Bogacili się kupcy, obrastała dostatkiem osada, która stawiała się ludniejsza i obszarem większa...

Nieszczęście spadło nagle, jak grom z jasnego nieba, gdy zastępy skośnookich, niby z piekła rodem, tatarskich wojowników nie pozostawiły na tym miejscu kamienia na kamieniu, tylko głuchą pustkę i morze gruzów. Kto uniknął pogromu uprowadzony został w pętach na bezkresy azjatyckich stepów.

Nieliczni, którzy ocaleli, w ostępach leśnych założyli nową osadę i zajęli się uprawą ziemi, bardzo urodzajną w okolicy dzisiejszych: Lubszy i Woźnik. Po mieszkańcach podgrodzi Grojca pozostały także stada bezpańskich psów, garnących się do nowo powstałej osady. Kiedy książę opolski objeżdżał swoje ziemie zauważył duże ilości dorodnych psów, które chętnie widział w swym stadzie myśliwskim. Zwolnił tedy mieszkańców osady z wielu uciążliwych obowiązków, polecając natomiast hodowlę książęcego stada psów. Z biegiem czasu książęcą osadę służebną mieszkańcy okolicznych wiosek nazwali Psarami.

Dzwon z Olszyny

Niedawno, na polecenie władz gminnych, wycięto resztki owianego legendami olchowego lasu porastającego brzegi Kanaru, dopływu Potoku Ligockiego. W tym to lesie, Olszyną zwanym, dawnymi czasy, jak chce stare podanie, pasła świnię dziewczyna, imieniem Zuzanna, służąca jednego z lubszeckich kmieci.

Pewnego dnia jedna z pasących się świń, poszukując smakowitych kąsków, wyryła z ziemi niewielki dzwon. Przez lata,

służył on początkowo jako sygnaturka zawieszona w wieżycie lubszeckiego kościoła. Kiedy sprawiono nowy dzwon, zwany dzwonem konających, sygnaturkę zdjęto i zawieszono na drzewie w pobliskiej wiosce Psary. Tam też wisi do dnia dzisiejszego, a z jego głosu można ponoć usłyszeć słowa: „Świnia mnie wyrzyła, Zuzanna mnie wzięła”.

Zatopiony dzwon

Stary drewniany kościół w Boronowie, który jeszcze w XVIII wieku stanowił filię kościoła w Lubszy, otoczony był z dwóch stron wodami pobliskiego stawu. Stare podanie głosi, że krótko po zawieszeniu dzwonu rabusie zza pobliskiej granicy przybyli do Boronowa. Udało im się dzwon z wieży ściągnąć, lecz gdy się przez staw drewnianym mostem przeprawiali, ten się nagle pod nimi załamał.

Głębiny pochłonięły świętokradców, ale i dzwon w toni przepadł. Nie udało się go wydobyć do dziś, chociaż podobno jego dźwięki słyszą ludzie o czystych sercach.

Strzyga

„Encyklopedia powszechna” Gutenberga na stronie 245 tomu 16 notuje: „Strzyga (z łac. Strix, ptak nocny), według starodawnego wierzenia ludowego, upiór żeński, wysysający nocą krew, zwłaszcza niemowlętom. U ludu polskiego męskim odpowiednikiem strzygi jest strzygoń”.

Było to w połowie wieku XVIII, w jednym starym domu w Lubszy, który to jeszcze sto lat później pokazywano. W tym to domu zmarła pewna stara gospodyni, którą po złożeniu na słomie, zgodnie z prawnym zwyczajem, mąż wodą święconą obficie skropił. Nagle martwa kobieta zerwała się z mar i z wyciągniętymi rękami rzuciła się na ludzi zebranych w izbie. Ci w popłochu uciekli i zatrzaskując drzwi, mocno je kołkami

podparli. Nie wszyscy jednak zdążyli. W izbie, w kąciu, przy kominku została starowinka, matka. Na tę rzuciła się martwa i wpiła jej w brodę zęby. Widząc przez okno co się „święci”, przyskoczyli co śmielsi, broniakami, czyli drewnianymi zębami brony, rozszerzyli szczęki martwej i oderwali ją od matki. Inni męża przywołali i kazali mu, by czapkę baranią na głowę zmarłej włożył i usta krzemiennym kamieniem zatkał. Gdy ten to uczynił, siły zmarłą poczęły opuszczać. Zrazu na kolana uklęknęła a następnie na podłogę całkiem martwą padła. Jak później orzeczono, martwa kobieta strzygą wcześniej była.

Babienickie „baby”

Nikt nie pamięta dokładnie, kiedy to było i jaką pierwotnie ta miejscowość nosiła nazwę. Przed wiekami była to zasobna osada - aż do chwili, kiedy przywleczono tam straszną zarazę, która w krótkim czasie uśmierciła wszystkich mieszkańców, z wyjątkiem jednej kobiety. Mieszkańcy okolicznych wiosek bali się nawet zbliżyć do ogarniętej morem osady. Znalazł się jednak śmiałek, który po powrocie z tej wioski powiedział, że: „zaraza wszystkich zabiła, a jednej babie nic nie zrobiła”. Słyszając te słowa wielu wybrało tę wioskę na miejsce zamieszkania, a jednocześnie podziwiali słabą kobietę, która potrafiła pokonać zarazę. Po wiekach upamiętniono ten fakt na napieczętym godle gminy. Od XIX wieku, w Babienicach używano do stemplowania urzędowych dokumentów pieczęci z wizerunkiem kobiety klęczącej pod krzyżem.

Istnieje jednak także drugie podanie, nie tak tragiczne w swej wymowie, mające także swój odpowiednik w wyobrażeniu napieczętym. Jak głosi legenda, Babienica słynęła przed wiekami z wyrobu precudnych tkanin, a wszystko to za sprawą przędzy i nici, które wykonywała jedna z kobiet. Pewnego dnia

kobieta ta, nie wiedzieć dlaczego, nagle opuściła wioskę. Nikt już później nie potrafił wytwarzać tak barwnej i delikatnej nitki. Upadło rzemiosło, zapomniano o cudnych tkaninach, ale mieszkańcy w XVIII wieku w godle pieczęci umieścili wizerunek kobiety dzierżącej w dłoniach motek nici.

Grób dziedziców

W Babienicy, wiosce położonej na północny zachód od Lubszy, żyła dawno temu pewna staruszka. Sędziwa kobieta nieraz opowiadała o nieszczęsnej dziewczynie, która poniosła tragiczną śmierć w gruzach zapadłego pod ziemią zamczyska, stojącego na lubszeckim Grojcu. Po jej śmierci pogrążeni w bólu rodzice zamieszkali w Babienicy, w miejscu, gdzie do dnia dzisiejszego stoją zabudowania babienickiego „kołchozu”. Podobno znajdował się tam małeńki dworek, w którym spędzili oni ostatnie swe dni, spoglądając smutno na porośły lasem Grojec.

Rozpacz po stracie jedynaczki nadwątlila ich siły, tak, że staruszkowie dość szybko opuścili ziemski padół, łącząc się z oczekującą ich w niebiosach jedyną córką. Nie mogąc jednak znaleźć miejsca ostatniego spoczynku w zrujnowanej kaplicy grobowej na Grojcu, pogrzebani zostali nieopodal dworku w Babienicy. Mijały lata, mijały wieki, zmieniali się kolejni właściciele majątku. Po zabudowaniach starego dworku nie pozostał żaden ślad, a i wspomnienia po dziedzicach Grojca okryła mgła tajemnicy.

Kiedy w 1833 roku dobra lubszeckie, wraz z wchodzącym w ich skład majątkiem rycerskim w Babienicy, przeszły w ręce rodu Henckel von Donnersmarck, wydarzenia sprzed lat ożyły.

Zaprzagnął bowiem nowy właściciel, aby w Babienicy zbudować dużych rozmiarów park. Na jego polecenie wykarczowano byle jak rosące drzewa i dzikie krzewy, wrywano korzenie i pniaki, równano ziemię.

Wtedy to, płytko pod ziemią, natrafiono na potężną i grubą płytę wykonaną jakby z żelaza, której nie potrafiono ruszyć.

Próbowano ręcznie i sprzężonymi parami wołów, ale nie dano rady jej ruszyć.

Zniechęcony niepowodzeniem hrabia Henckel von Donnersmarck kazał wszystko zasypać, wyrównać ziemię i obsadzić świerkowym lasem. Z biegiem czasu, z malutkich sadzonek wyrosły dorodne choinki, a następnie potężne drzewa, po których jednak dzisiaj próżno szukać śladu. Nie wiadomo także, gdzie znajduje się płyta kryjąca wejście do grobu.

Diabelskie kamienie

Powszechnie wiadomo, że przed tysiącami lat ziemię górnośląskie, podobnie jak inne tereny na północ od Karpat odwiedził lodowiec, który odchodząc pozostawił nam rozliczne pamiątki. Wśród nich spotyka się liczne głazy narzutowe, których pochodzenie nasi przodkowie wiązali z diabelskimi mocami lub innymi tajemnymi zdarzeniami.

Niedaleko Toszka znajduje się ogromny kamień, który porzucił diabeł niosący go, by zamek w Olsztynie koło Częstochowy zburzyć. Będąc już za Toszkiem usłyszał pianie koguta, więc kamień porzucił i skrył się przed promieniami słonecznymi w swym podziemnym legowisku.

Józef Lompa w swych zapiskach pozostawił nam wiadomość o pochodzeniu innego głazu w tej samej okolicy. Oto pewna kobieta szła do kościoła, a za nią podążała jej córka. Matka chciała, by ta pozostała w domu dobytku pilnować, lecz jej córka była nieposłuszna. Rzekła tedy matka: - Bodaj żeś na tym miejscu skamieniała! - co też się tak stało.

Koło Siemianowic Śląskich, także po pierwszym pianiu, porzucili diabli liczne kamienie, którymi chcieli kościółek św. Doroty zniszczyć, na górze nieopodal Grodzca stojący. Inna legenda o tym zdarzeniu głosi, że nosili diabli kamienie, ale im anioł Boży dostępu do kościółka bronił. Wytrącał im anioł te kamienie, które na przestrzeni aż siedmiu mil leżą, a widać po dziś na nich odciski ślady diabelskich szponów.

Pod Pawonkowem, w powiecie lublinieckim, był ogromny kamień, ale go w czasie wojen napoleońskich prochem rozłupano. Zgubił go tam diabeł, kiedy ponownie zamek w Olsztynie pod Częstochową chciał potrzaskać i ponownie głos koguta mu w tym przeszkodził. Jak ludzie powiadają, tenże diabeł lecąc od północnego zachodu, miał zostawić: w Oleśnie pychę, w Dobrodzieniu pieniądze a w Lublińcu biedę.

Dzwony i dzwonki

Od niepamiętnych czasów dzwony odgrywały ważną rolę w życiu ludzi. Zawieszone na kościelnych wieżach, wolno stojących campanillach, czy przydrożnych słupach pełniły różne funkcje. Dzwony zwane południowymi ogłaszały godzinę 12, czyli południe, inne wzywały do modlitw na Jutrznie i Anioł Pański. Sygnaturki zwane były dzwonkami zmarłych lub konających.

Masowe pojawienie się przeróżnych dzwonów i dzwonek w Europie nastąpiło w średniowieczu. W XIII wieku, w czasie najazdów tatarskich ostrzegały one przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Materiał, z którego wykonywano dzwony uznawany był za cenny łup. Nic więc dziwnego, że w czasie wojen i najazdów były częstym obiektem rabunku. Jeszcze w czasie ostatniej wojny Niemcy rabowali kościelne dzwony, by je przetopić i przerobić na sprzęt wojenny.

Na przestrzeni dziejów dzwony głosiły radość i trwogę.

Józef Lompa w swych zapiskach przytacza opisy ciekawych obyczajów, jak to dzwonieniem rozpędzano chmury burzowe lub chciano chronić przed „nawałnością i piorunami grozącymi”. Jak napisał: „...był to bowiem święty obyczaj przodków naszych, iż gdy się na powietrzu postrach grzmotu wszczynał, dzwonami plebani ludzi do modlitwy wzywali, a tak każdy w domu gospodarz zawoławszy wszystkich domowników do modlitwy, zapalając świeczkę, gromnicą zwaną, kadząc ziołami święconymi, w opiekę Boską się polecali...”

Kiedy w początkach XVIII wieku załamała się wewnątrz prastara kamienna wieża kościoła w Lubszy, wybudowano obok wolno stojącą campanillę, na której zawieszono cudnej roboty dzwony. Złakomiły one przygranicznych rabusiów, którzy w nocy letnią porą, kiedy Lubszanie zmęczeni pracami polowymi spali, podjechali do wioski wozem konnym, by dokonać niecnego czynu. Niezauważeni przez wieśniaków, ściągnęli z drewnianej wieży dzwon największy i najładniejszy, i już od wioski zaczęli się oddalać, gdy nagle koła w kamienistym gruncie się zaryły! Nie dość jednak tego. Dzwon zaczął wydawać głośnie i żałosne dźwięki, które zbudziły mieszkańców wioski. Spłoszeni rabusie porzucili łup i uciekając przed pogonią, zniknęli w mroku.

Koci Stok

Z dzieciństwa pamiętam, jak moje starsze kuzynki, skoro świt, w dzień świętego Jana Chrzciciela, zabierały dzbanki i udawały się do Stoku, czyli źródła wody wypływającej z podnóża Góry Lubszeckiej. Wśród okolicznej ludności utrzymywało się przekonanie, że woda pobrana o świcie w dniu tego świętego posiada wręcz cudowne właściwości: pomaga na różne, wewnętrzne dolegliwości, zaś panienkom po umyciu lico wygładza i urody dodaje. Dziś zwyczaj ten zaniknął, a i panienki woła na poprawę swej urody przeróżne mleczka i pachnidła.

Kilka kilometrów na północny wschód od Lubszy znajduje się osada Pakuły, położona nad tak zwaną polską granicą. Jest ona wspólnie z Hutą Karola, najbardziej na północny wschód wysuniętą miejscowością Górnego Śląska. Powstała w XVIII wieku. Początkowo stanowiły ją pojedyncze zabudowania rodziny Pakułów, często notowanej już w XVIII wieku w księgach metrykalnych parafii Lubszy.

W początkach wieku XIX stanowiła kolonię przynależną do Ligoty, wioski położonej między Lubszą a Woźnikami.

W pobliżu teŹe miejscowości znajduje się Źródło zwane „Kocim Stokiem”. To podobno nigdy nie zamarzające Źródło wydaje na powierzchnię ziemi bardzo smaczną wodę. Od niepamiętnych czasów utrzymuje się jednak przekonanie o podstępnych właściwościach teŹe krynicy. Powiadali starzy ludzie, gdy chory tej wody zaŹąda i się jej napije, juŹ nie ozdrowieje, a i lubszecki kopidoł rychło zajęcie znajdzie.

Skarby Kamieńskich Młynów

Przez wiele wieków parafia lubszecka leŹała na granicy pomiędzy Śląskiem a Rzeczypospolitą, a po jej upadku - z Królestwem Kongresowym i Cesarstwem Rosyjskim. Jak kaŹda granica przekraczana była szczególnie przez ludzi majątnych lub tych, którzy szukali schronienia przed groŹącym im niebezpieczeństwem. I jedni i drudzy przewozili przez granicę różnego typu kosztowności, które po przekroczeniu granicy, przy pierwszym noclegu, chcąc zabezpieczyć się przed rabunkiem, ukrywano w sekretnym miejscu. Zwykle były to zagłębienia pod korzeniami lub dziuple wiekowych drzew, miejsca w pobliŹu głazów narzutowych, przydroŹne lub nadrzeczne skarpy, krzyŹe przy rozstajnych drogach.

Często pierwszy nocleg po przekroczeniu granicy, był noclegiem ostatnim. Jak nad kaŹdą z granic, takŹe i na terenie parafii lubszeckiej grasowały bandy rabusiów, którym za nic było życie ludzkie. Często zdarzało się i to, Źe kosztowności ukryte wieczorną porą nie były odnajdywane porankiem, bo promienie słoneczne zmieniały wyglądz miejsca ukrycia. I w pierwszym, i w drugim przypadku skarby ukryte dawno temu czekają na swego znalazcę. A Źe Kamieńskie Młyny leŹały najbliŹej granicy, tam teŹ jest ich nagromadzonych najwięcej, szczególnie w okolicach Borku, nad granicą ze Starczą, nad rzeką Kamieniczką i w okolicach nowego kościoła.

Z dzieciństwa pamiętam opowieść Wawrzyna Badury o tym jak to bardzo dawno temu uchodził z Rzeczypospolitej przed niebezpieczeństwem jeden z księży. Będąc uwikłany w nielegalną działalność narodowa, ścigany był przez agentów rosyjskiego cara. Uchodząc przewoził z sobą precudnej roboty złoty kielich, który po przekroczeniu granicy śląskiej w okolicy Kamięńskich Młynów ukrył w obawie przed kradzieżą. Stracił jednak życie, zgłodzony przez carskich najemników, a kielich od dwóch stuleci spoczywa w ukryciu. Nadejdzie jednak taki czas, że znajdzie się człowiek nie skalany grzechem, który odnajdzie ukryty skarb, który służyć będzie celom do których został zrobiony..

Zaraza w Ligocie Woźnickiej

W dawnych czasach mieszkańcy Ligoty przynależni byli kościołowi parafialnemu w Woźnikach - do czasu - kiedy to w miejscowości tej morowe powietrze zapanowało. Jedni mówią, że było to w czasie okrutnej wojnie trzydziestoletniej, inni natomiast twierdzą, że było to dawniej, w czasach, które średniowieczem są nazywane. Mnie się wydaje, że rację mają ci drudzy, skoro księga z archiwum biskupiego w Krakowie zwana „Liber retaxationum”, a pochodząca z 1529 roku notuje, że Ligota, Boronów, Kamienica, Psary i Babienica należą do kościoła w Lubszy.

Czasy średniowiecza na naszym terenie nie należały do zbyt spokojnych. Ciągłe najazdy i walki stwarzały okazję do roznoszenia po okolicy różnych chorób, które nie omijały ani dworów, ani biednych lepierek. Tak też było w Ligocie. Żniwo śmierci było tak duże, że nie miał kto zmarłych grzebać, a tym samym zarazie przeszkodzić. Straszna choroba uśmierciła mieszkańców Ligoty tak, że jak głosi podanie, tylko dwie kobiety z rodu Sekułowego przy życiu zostały.

Woźnicki proboszcz obawiając się zarazy, nie chciał wypełniać swego obowiązku i z posługą do chorych przyjeżdżać, a i ziemi

na cholerycznym cmentarzu wodą święconą skropić. Jeździł natomiast do chorych lubszecki farorz, posług udzielał, i msze święte odprawiał, jak to było w zwyczaju, na lipowym stole, na granicy lubszeckich i ligockich pól. Od tego czasu przyłączyli się Ligoczanie do parafii w Lubszy.

Przy jednej z dróg w Ligocie, znajduje się stara kapliczka poświęcona św. Rochowi. Jak głosi tradycja, zbudowana została na pamiątkę zarazy jaka panowała przed wiekami w Ligocie.

Tragedia Kotulińskich

W Boronowie, miejscowości położonej przy szlaku kolejowym z Tarnowskich Gór do Gdyni, znajduje się perła górnośląskiej architektury drewnianej. Jest nią stary drewniany kościół św. Andrzeja, obecnie pod wezwaniem Matki Boskiej Różańcowej. Zbudowany został w 1611 roku z fundacji rodziny Dzierżanowskich, miejscowych dziedziców. Budowę boronowskiego kościoła wymusiła sytuacja w pobliskiej Lubszy, gdzie w drugiej połowie XVI wieku kościół parafialny przejęła protestanka, prawdopodobnie kalwińska rodzina Kamieńców z Kamienia, dziedziców Lubszy. Katolicy Boronowa, nie mogąc uczęszczać na katolickie nabożeństwa w lubszeckim kościele, nie chcąc zmieniać swego wyznania, wystawili więc swój własny filialny kościół. Świątynię wybudowano w otoczeniu pięknych stawów, przez które do kościoła prowadził drewniany pomost. Po rodzinie Dzierżanowskich, fundatorach kościoła, zachował się piękny dzwon, ufundowany w 1638 roku przez Aleksandra Ernesta Dzierżanowskiego oraz kaplica pod wezwaniem świętej Anny zwana także kaplicą Dzierżanowskich. Pod kaplicą znajduje się niedostępna obecnie krypta, w której jak utrzymuje tradycja, w wiecznym śnie spoczywają budowniczości kościoła. W końcu XVII wieku, dobra boronowskie znajdowały się w posiadaniu Kotulińskich, szlacheckiej rodziny pochodzącej z Czech, możliwych protektorów kościoła. Szczególnie Jan Fryderyk z Kotulina Kotuliński był hojnym darczyńcą, po

którym pozostały piękne naczynia liturgiczne, wykonane w stylu barokowym. We wspomnianej kaplicy Dzierżanowskich znajduje się ołtarz późnorenesansowy z obrazem św. Anny Samotrzeć, którego pochodzenie przypisywane jest rodzinie Kotulińskich. W predeli ołtarza znajduje się umieszczone na desce malowidło z przedstawieniem fundatora, jego żony i licznych dzieci, wszystkich klęczących nabożnie pod krzyżem we wnętrzu kościoła. Tradycja ludowa głosi, że jest to wizerunek rodziny hrabiego Kotulińskiego, dziedzica boronowskiego, jako wotum podarowany, miejscowemu kościołowi, na pamiątkę tragicznego wydarzenia, które miało miejsce przed wiekami.

Dokładnie nie wiadomo kiedy to było, gdy hrabia Kotuliński wraz z żoną oraz licznym zastępem swoich synów i córek feralnej niedzieli udał się na mszę do kościoła. Podobnie jak wieś, zamek hrabiego połączony był z kościołem drewnianym pomostem przebiegającym na skróty przez staw. I stało się. Na nic zdały się zabezpieczające pomost barierki, gdy jedno z dzieciątek hrabiego potknęło się, wpadło do wody i utonęło. Pograżony w rozpacz ojciec ufundował ołtarz, przed którym wraz z bliskimi zanosił modlitwy do Boga.

Piwo

Nikt dokładnie nie wie, kiedy i gdzie po raz pierwszy wynaleziono pieniący się, złocisty napój, posiadający tylu zwolenników co przeciwników, pospolicie nazywany piwem. Na masową skalę wytwarzane w starożytności, już w słynnym Kodeksie Hammurabiego doczekało się zapisu kar grożących tym, którzy pozwoliliby sobie na jego fałszerstwo. Podobnie było w państwie faraonów. Swój renesans piwo przeżyło w okresie wczesnego średniowiecza, kiedy to Goci, później Germanie, a następnie Słowianie, przejęli tajniki jego warzenia. Świetną reklamę dla tego napoju uczynił jeden z książąt piastowskich, który wymówił się papieżowi w krucjacie

przeciwko niewiernym w Palestynie. Twierdził on, że nie może pojechać do Ziemi Świętej, bo nie ma tam piwa, które jest mu niezbędne do życia.

Warzenie piwa, a także słodu, produktu do jego otrzymywania wymagało posiadania książęcych przywilejów. Kto je otrzymał ten się bogacił. Kto warzył dobre piwo, bogacił się jeszcze bardziej. Browary istniały w miastach, istniały także na wsiach. Wiejski charakter posiadały między innymi browary tyskie: „Książęcy” ten od księcia pszczyńskiego, jak i „Obywatelski” - jak sama nazwa wskazuje - własność obywateli gminy Tychy.

Prastara legenda głosi, że:

„Gdy Kraków budowano, to do Lubszy po piwo jeżdżono”. Wertując roczniki starej prasy wrocławskiej, pod rokiem 1812 natknąłem się na ogłoszenie o licytacji browaru lubszeckiego. Starsi ludzie powiadają, że browar ten rozebrano przed pierwszą wojną światową, bo nie wytrzymał konkurencji powstałych w XIX wieku molochów, jak na przykład browaru Haendlera w Małym Zabrze, później największego browaru na Śląsku.

Jak wynika z zapisu legendy, napój ten upatrzili sobie budowniczowie krakowscy, być może mieli po nim więcej fantazji wznosząc przepiękne budowle podwawelskiego grodu.

Kilkadziesiąt kilometrów na północ od Tarnowskich Gór położone jest Olesno, a w nim najbardziej oryginalny, drewniany kościół poświęcony św. Annie. Jak powiadali starsi wiekiem ludzie, że kiedy wznoszono kościół przed wiekami, olescy mieszczanie cieślom dla ochłody jak i dla większej ochoty do roboty, przytoczyli beczkę piwa. Jedni chcieli szybko dno beczki zobaczyć, drudzy radzili napoju na dzień następny zostawić. Wiadomo, zwyciężyła opcja pierwsza, bowiem twierdzono, że przy tak wzniosłym celu jak budowa kościoła, święta Anna znowu napojem beczkę napełni. I stał się cud.

Gdy nazajutrz na budowę przybyli, beczkę znaleźli wypełnioną po brzegi pieniącym się piwem. Zdopingowani tym cudem w mig kościół postavili. Dziwili się tylko ludzie, dlaczego przed ołtarzem sosna rośnie.

O lubeckim kościele

Nie opodal Lublińca, położone jest Lubecko, jedna z najstarszych osad Górnego Śląska, zapisana w dokumentach już w pierwszej połowie XIII wieku. Do historii przeszło w wyniku samowoli dziedzica tej miejscowości, który wbrew ówczesnemu prawu, tak kanonicznemu, jak i świeckiemu, pobierał opłaty celne na przebiegającym przez tę wieś szlaku handlowym.

W 1342 roku, po raz pierwszy wzmiankowany miejscowy kościół, który od 1362 roku wymieniany jest jako parafialny. Jak wyglądała pierwotnie świątynia - nie wiemy. Przypuszczalnie był to mały kościółek zbudowany z najbardziej dostępnego materiału na tym terenie, czyli z drewna.

Obecny, gotycko-renesansowy, murowany z kamienia i cegły, kościół wzniesiono na przełomie XVI i XVII wieku. Wielokrotnie odnawiany, w 1776 roku dzięki fundacji Anny Barbary Gaszyn, dziedziczki Lubecka został powiększony. W nadprożu wejścia, na belce, pod grubą warstwą farby widnieją ślady napisu dotyczącego rozbudowy kościoła. Do najcenniejszych zabytków dawnej sztuki zalicza się renesansową płytę nagrobną, zmarłego w 1549 roku Jana Kochcickiego, dzwon gotycki z 1447 roku, rzeźbę Matki Boskiej z Dzieciątkiem, datowanej na okres około 1500 roku.

Dla katolików najcenniejszym jest jednak malowany dwustronnie na blasze (12,5 x 7,7 cm) obraz przedstawiający Chrystusa Cierpiącego, a na odwrotnej stronie wizerunek Matki Boskiej zwanej „Lubecką”, będący repliką obrazu Madonny Jasnogórskiej. „Katalog zabytków sztuki w Polsce” informuje, opierając się na rękopiśmiennej „Kronice parafii Lubecko”, że obraz ten podarowany został miejscowemu kościołowi w 1716 lub 1720 roku. Tradycja ludowa natomiast przypisuje obrazowi fakt cudownego odnalezienia, „kiedy to bardzo dawno temu, nieznany z imienia lubecki chłop, ładując na wóz obornik, w pewnej chwili znalazł obraz Matki Boskiej. Ucieszony wielce ze

znaleziska, nie chcąc nikomu o tym powiedzieć, schował głęboko w skrzyni znaną świętość. Tajemnicy nie dało się uchować, bowiem obraz nocną porą wysyłał silne promienie tak, że aż luna unosiła się nad domostwem wieśniaka”.

Gdy wieść o cudownym obrazie rozniosła się, wielu zapragnęło go mieć w swym posiadaniu. Zabiegali o niego braciszkwowie z Jasnej Góry, jak i urzędnicy z biskupiego Wrocławia, jednak dzięki pomocy Watykanu obraz pozostał w Lubecku.

„Zdarzyło się pewnego razu, że w lubeckim kościółku ślub brała pewna biedna z pochodzenia panna młoda. Zazdrościło jej pięknego i majątnego wybranka wielu zawistnych ludzi. Rzucono potwarz, posądzając ją o brak niewinności. Po słończonej mszy ślubnej przed obrazem Matki Boskiej Lubeckiej, wychodząc z kościoła, widząc zgromadzoną, żądną sensacji gawieź, panna młoda zerwała z głowy swój ruciany wianek i rzekła: Niech mój wianek uschnie natychmiast, jeżeli jestem niegodna jego!

Odszucony trafił na stary mur cmentarny, gdzie w mgnieniu oka wianek zakwitł zapuszczając jednocześnie głęboko korzenie. Jak powiadali starzy ludzie; którzy go widzieli, wianek kwitł, rozrastał się i zielenił na cmentarnym zrujnowanym później murze przez bardzo długie lata”.

Skąd się wzięła nazwa Dobrodzień

W zachodniej części byłego powiatu lublinieckiego leży Dobrodzień, który swe powstanie zawdzięcza krzyżowaniu się w tym miejscu ważnych dróg handlowych. Początki osadnictwa w Dobrodzieniu i okolicy nikną w mrokach przeszłości. Archeolodzy, którzy tutaj odkryli wielkie i bogate w zabytki cmentarzysko, chcąc podkreślić ważność tej prastarej osady i bogactwo jej nietypowej kultury, wydzielili osobną tak zwaną grupę kultury dobrodzieńskiej.

Zastanawia nazwa miasta, nie koronowanej stolicy śląskich stolarzy. Stare podanie głosi, że zanim powstała osada, która



urosla i przekształciła się w okazałe miasto, kupcy jeżdżący szlakiem z Wrocławia do Krakowa spotykali się tu z tymi, co z Raciborza podążali do Poznania i Szczecina. Słowianie pozdrawiali się w owym miejscu słowami: „Dobry dzień”, a ludność pochodzenia germańskiego: „Guten Tag”. Dziś Polacy nazywają to miasto - Dobrodzień, a Niemcy - Gutentag.

Istnieje także inna, stara legenda, którą wśród wielu innych, na łamach „Dziennika Górnśląskiego”, przytoczył w 1848 roku Józef Lompa. Wykracza ona jednak dalej, bo podaje „legendarne” okoliczności nadania Dobrodzieniowi praw miejskich. A było to tak:

Bardzo dawno temu, prawdopodobnie w końcu XIII lub na początku następnego wieku, pewna księżna górnśląska, pochodząca z odległego kraju, zasmakowała bardzo w miodzie o dość wysokim procencie alkoholu. Zaznaczyć należy, że ówczesnie typowa gorzałka nie była jeszcze znana. Księżna podróżując onegdaj po swych dobrach, nie mogła nigdzie znaleźć miodu, choć przyszedł jej wielki smak na ten napitek. Znalazła go dopiero w pewnej bezimiennej osadzie, gdzie nasyciwszy się, zadowolona rzekła swoim narzeczem: „Dobro dzień”.

Określenie to przyłgnęło do osady i tak już pozostało. Wdzięczna księżna, widząc zapobiegliwość mieszkańców osady i ich upodobanie do miodu pitnego, nadała Dobrodzieniowi prawa miejskie.

Jak to mnich oszukał diabła

W północno-wschodniej części byłego powiatu lublinieckiego znajduje się niewielka miejscowość Hadra. Tam zaś leży sobie porzucony przez diabła kamień z widocznymi ponoć do dnia dzisiejszego odciskami diabelskich kopyt.

Było to naprawdę bardzo dawno temu, kiedy to w nieodległej Częstochowie, diabeł opętał pewną świętobliwą kobietę. Dowiedział się o tym jeden z braciszków jasnogórskiego

klasztoru, który to postanowił ratować zagrożoną duszyczkę. Na nic zdały się jednak odprawione egzorcyzmy, aż w końcu mnich założył się z diabłem. Stawką była dusza nieszczęsnej kobiety. Dusza - jeżeli diabłu uda się przenieść ogromny kamień z Częstochowy na Górę św. Anny, tej koło Wielkich Strzelec, zwanych obecnie Opolskimi, w ciągu jednej mszy.

Diabeł nie chodząc do kościoła czekał na moment „startu”, który był uzależniony od braciszka. Ten, znając swoją przewagę, rozpoczął odprawianie mszy. Kiedy msza zbliżała się do Ofiarowania, polecił ministrantom dać znać o tym, że dopiero się ona „rozpoczęła”. Szatan porwał kamień i uleciał z nim w dal. Spieszył się zakonnik z odmawianiem paciorków, a kończąc mszę, słowem „amen”, sparaliżował diabła tak, że ten porzucił kamień tam gdzie dzisiaj wieś Hadra się znajduje.

Klucznica

Działo się to prawdopodobnie w połowie wieku osiemnastego, gdy służbę w lubszeckim dworze rozpoczęła nieznana obecnie z imienia dziewczyna. W niedługim czasie zaślęnęła ona w okolicy nie tylko niezwykłym przywiązaniem do swych chlebowodawców, ale szczególnie z powodu swego wielkiego skapstwa. Ubogiemu przysłowiowej łyżki strawy by nie dała, a co gorsze, żywność przez dziedzica przeznaczoną dla potrzebujących - nie biednym, lecz świniom dała.

Wierną służbę dziedzic wynagrodził jej posadą klucznicy lubszeckiego zamku. Życie natomiast jej skapstwo „wynagrodziło” staropanieństwem. Jednak do czasu. Żył bowiem w wiosce szewc, wdowiec, straszny pijanica. Połakomił się on, nie bez dorady kompanów od kielicha, na uzbierane przez lata pieniądze klucznicy. Omamił przestarzałą „dziewoję”, która nie zwracała uwagi na przestrogi hrabiny i innych ludzi. Cóż, zabronić jej nie mogli.

Jeszcze wesele nie dobiegło końca, gdy szewc zaczął dopytywać się o zgromadzony kapitał. Dzień po dniu stawał się bardziej

natarczywy, a i raz i dwa przyłożył kobiecie. Ta dla spokoju chciała dać mu pieniądze, lecz odwiedziona została od tego kroku przez dziedziców, którzy obawiali się, że szewc przepije wszystko, a kobiecina zostanie bez grosza na stare lata.

Szewc uparty w zamiarze bił, bił, tak bił, że zabił. Nie dostał jednak pieniędzy, które pozostały w dworze.

Od chwili pogrzebu klucznicy, codziennie o północy, w starym lubszeckim zamku, w wielkiej komnacie świętnią zwanej, zapalały się światła i rumor wielki słychać było. Straże zamkowe widziały jak otwierała się zamkowa brama i na podwórzec kareta zajeżdżała, z której to nieboszczkę klucznicę, ogromnych, ponadludzkich rozmiarów postacie wyprowadzały. W pustym zamku rozpoczynał się bal. Chcąc widzieć co się w świętni dzieje, co ciekawsi, no i odważniejsi dworzanie przystawiali drabiny do okien komnaty. A tam, w środku, klucznica z całym czarcim zastępem tańce, śpiewy i inne swawole uprawiała.

Ponoć wszystko ustało, gdy miejscowy farorz, wodą święconą dobrze skropił wszystkie zakamarki starego zamku. Nikt jednak nie chciał ponownie w nim zamieszkać. Stary zamek stał opuszczony i powoli niszczał tak, że z początkiem wieku dziewiętnastego został rozebrany.

Utopiec

Jak notuje „Encyklopedia” Gutenberga: „Topielec (wodnik) w wierzeniach ludu duch utopionego, z zemsty zatapiający żywych. Odpowiednikiem żeńskim jest topielica zwana też wodnicą”. Na Górnym Śląsku trudno byłoby wskazać staw, groblę, potok czy rzekę z którymi to nie wiązano by obecności utopca, zwanego też utoplcem, utopkiem, topielkiem, Wassermanem lub norkiem.

Józef Lompa w „Dzienniku Górnos Śląskim”, w 1848 roku, pisał o Rosochacu, będącym w państwie woźnickim głębokim dole, znajdującym się obok rzeczki Przyrwa, wpadającej do rzeki

Mała Panew. Dół ten - jak utrzymywano - jest bez dna, a w nim roi się od żyjących tam przeróżnych potworów.

Pomiędzy tymi stworami jest i topielek, który jak powiada lud: Małą Panew jak i wszystkie stawy aż do Bruśka odwiedza. Często w Zielonej, wiosce leżącej na wschód od Miotka, gdzie go jako chłopczyka w czerwonym ubiorze po rzeczce chodzić, jak i spać na brzegu widziano. Ludność opisywała go tak: „Utoplec jest mały, ma pomarszczony, złowrogi, wręcz groźny wyraz twarzy. Jego oczy są zielone, a włosy wzburzone, poprzepłatane są wodorostami. Palce u jego rąk jak i nóg, podobnie jak to żaby mają, połączone są błoną. Najczęściej nosi on czerwoną czapkę i czerwone pończochy. Najłatwiej go rozpoznać po tym, że z lewego rękawa jego kubraka lub palta, spływają grube krople wody”.

Utopiec jest wielkim złoślikiem i bardzo cieszy się z cudzego nieszczęścia. Bardzo nie lubi dzieci, które zakłócają mu spokój rzucaniem kamieni do wody. Od czasu do czasu zdarza się, że jest przyjaźnie nastawiony do ludzi i udziela im pomocy. Znaczący zwyczajów utopca powiadają, że jako władca podwodnych głębin, co roku, w okresie do nocy świętojańskiej, żąda trzech ofiar. Jest to powód, że do owej nocy w rzekach, stawach i jeziorach kąpać się nie wolno, podobnie jak na nieogrzmianych wiosennymi burzami brzegach nie należy siadać, by nie być wciągniętym w wodne głębiny. Jeżeli utopiec przyczyni się do nieszczęścia, można bardzo często zaobserwować jak z radości wzburza wody jezior i stawów aż woda pluszcze o brzegi, a od czasu do czasu, ponad taflą wód, unosi się diaboliczny śmiech i radosne chichoty.

W nieodległej od Tarnowskich Gór Lubszy, w dawnych czasach, tam gdzie dzisiaj znajdują się łąki, zbudowane były groble pełne ryb. W nich od pewnego razu na dobre zagościł utopiec. Na przebiegającej przez groble drodze rozpoczął polowanie na tych, którzy idąc z lubszeckiego kościoła do Ligoty, zamiast z Błogosławieństwem do domu, wstępowali do Żyda na sznapsa. Trwało to dobrych kilka lat, aż wytępił wszystkich trunkowych i

zabrał się za rybaków. Ci przestraszeni puszczali z grobli wodę. Spłynęły ryby, wyniósł się w końcu i utopiec, a po groblach pozostał tylko ślad w postaci nazwy drogi „Wyngradzie”, czyli prowadzącej do grodzi.

Powiadają ludzie, że utopiec ma zdolności przeobrażania się w różne postacie. Raz może być koniem, innym razem psem, czy rybą. Niektórzy twierdzą, że jest żonaty, w każdym bądź razie w Boronowie widziano przecudnej urody jego córki. Kto je widywał twierdził, że lubią tańczyć, śpiewać i bardzo łatwo nawiązują kontakty towarzyskie z ludźmi...

Córki utopca

W Boronowie w przeszłości znajdowało się wiele stawów, strumieni i innych otwartych zbiorników wodnych. Były one dodatkowym źródłem bogacenia się miejscowej ludności, pozyskującej z głębin wód niezliczone ilości ryb, raków, a z przybrzeżnych płycin, spore ilości sitowia wykorzystywanego w budownictwie.

Po całotygodniowej, ciężkiej pracy, kiedy starsi wiekiem mieszkańcy wypoczywali, młodzież spotykała się w boronowskiej gospodzie. Dobra muzyka i ładne dziewczyny ściągały nie tylko miejscowych. Na coniedzielnych zabawach spotykali się młodzi z Boronowa i okolicznych wiosek hen aż od Koszęcina i Lubszy.

Wśród wielu gości, od pewnego czasu, stałymi bywalczyniami były dwie bardzo urodziwe, około dwudziestoletnie dziewczyny. Nikt nie wiedział kim były, skąd przybywały, a nawet jak się nazywały. Jedynie znany powszechnie był fakt, że krótko przed północą znikwały z sali tanecznej. Intrygowało to wszystkich tym bardziej, że niejednemu kawalerowi serce biło żywiej na widok nieznajomych.

Przez kilka kolejnych niedziel, grupa chłopaków obserwowała każdy krok dziewczyn, chcąc się czegoś bliżej o nich dowiedzieć. Pewnej niedzieli, kiedy to jak zwykle krótko przed

północą panny niepostrzeżenie opuściły gospodę, zostały na podwórzu pochwycone przez czatujących w krzakach chłopców. Chwila nieuwagi wystarczyła, by starsza wymknęła się i przepadła w ciemnościach. Młodszej, mimo wysiłków, nie udało się ta sztuka. Ta, po długich naleganiach i wielu prośbach zrezygnowana rzekła: „Jestem córką utopca od lat mieszkającego ze mną i moją starszą siostrą w głębinach największego z boronowskich stawów. Ojciec jest strasznym tyranem i jeżeli nie pojawię się w domu przed północną, na pewno mnie zabije. To był powód, że zawsze z siostrą musiałyśmy opuszczać zabawę, kiedy się ona na dobre rozkręcała i wracać w głębię boronowskiego stawu. Jeżeli choć trochę mnie lubicie, dajcie mi odejść. Zwróćcie jednak uwagę na barwę piany, która pokryje staw po moim skoku. Gdy biała będzie, wrócę znowu do was, bo żyć będę. Gdy czerwień staw pokryje, los mój się dokona”.

Po tych słowach dziewczyna skoczyła do stawu, którego powierzchnia szkarlatu barwę przybrała. A chłopcy mimo jej słów czekali. Czekali jedną, drugą i wiele kolejnych niedziel, lecz nigdy już śliczne córki boronowskiego utopca nie pojawiły się więcej.

Kościół przegrany w karty

Niedaleko od Lublińca, w byłym powiecie oleskim, znajdują się Kozłowice, miejscowość, która w przeszłości, nieoczekiwanie, w iście „cudowny sposób”, wzbogaciła się o nowy, drewniany kościół, którego wcześniej nie miała. Przekazy ludowe na Górnym Śląsku, powstanie kościołów wiązą najczęściej z działalnością osób świętych, szczególnie ze świętym Wojciechem, bądź „cudownymi” zdarzeniami. W Lubszy nawiezione drewno każdej nocy staczało się w miejsce obecnego kościoła; w Koszęcinie natomiast, ogromnej wielkości rak,

zwiezione na suchy, piaszczysty pagórek belki drewniane pościagał w dół, na teren ówczesnie bagienny, tam, gdzie dzisiejszy kościółek Świętej Trójcy stoi.

145 lat minęło od chwili, gdy Józef Lompa na łamach bytomskiego „Dziennika Górnośląskiego” opublikował stare podanie, jak to mieszkańcy Kozłowic „dorobili” się kościoła, a było to tak: Bardzo dawno temu, a może jeszcze dawniej, w mieście Oleśnie leżącym na szlaku z Lublińca do Kluczborka, w jednym z przydrożnych zajazdów, spotkał się pan Chudobski, dziedzic z Chudoby, z panem Kozłowskim, dziedzicem z Kozłowic, i jeszcze innymi panami dziedzicami innych włości. Aby czas umilić, zasiedli do gry karcianej, a jak powszechnie wiadomo wirus albo inny bakcyl takiej gry, chorobliwie rozgrzewa przeciwników tak, że często nie tylko rozum w głowie, ale i wiele mniej lub więcej cennych rzeczy tracą. Tak też było i w Oleśnie, gdzie panu dziedzicowi Chudobskiemu karta nie szła i wkrótce nie tylko pieniądze, ale i konie i karetę stracił. Nie dość tego. W ferworze walki „postawił” na szali nowo wzniesiony swoim sumptem kościół w Chudobie. Refleksja przyszła zbyt późno. Chcąc utrudnić zadanie rzekł te słowa: „Teraz o mój kościół grać będziemy, kto go jednak wygra, musi go w jedną noc z mojego gruntu sprzątnąć!”.

Pogniewał się chyba całkiem Pan Bóg na pana Chudobskiego, bo karta jak mu nie szła, tak nie szła, a kościół szczęściem karcianym przypadł panu Kozłowskiemu z Kozłowic. „Zwycięzca” jeszcze dobrze nie wstał od stołu, gdy wieść o tym „pobiegła” do wioski, gdzie kto i czym mógł na wyścigi sposobił się do Chudoby, oddalonej o trzy ówczesne mile od Kozłowic.

I stało się. Nie minęła noc, gdy w Chudobie pozostał tylko pusty plac, ślad po przepięknym kościółku przegranym w karty, rozebranym, przeniesionym i poskładanym na nowym miejscu w Kozłowicach.

Zbójnicki zamek

Przy prastarym szlaku łączącym Bytom z Siewierzem, dwa ośrodki istniejącego w średniowieczu księstwa bytomskiego, pośród gęstych lasów i przepastnych bagien, niedostępny także dla ludzkiego oka, znajdował się dużych rozmiarów murowany zamek. Zbudowany został przez miejscowych zbójników, którzy nie tylko łupili kupców na pobliskim szlaku, lecz czynili wiele złego w trakcie swych wypraw na odległe tereny Górnego Śląska i pobliskiej Małopolski. Liczne wyprawy wojskowe jak i zastępy szpiegów i wywiadowców, nie potrafiły odnaleźć zbójckiego zamczyska. Ludność okoliczna także milczała, bo spośród niej rekrutowali się świerklanieccy rabusie, a znaczna część łupów wspomagała miejscową biedotę.

Powszechnie wiadomo, że zbójnicy to ludek skory do uciech i wydawania „ciężko zarobionego” grosza. Wyprawiali się oni tedy do okolicznych karczem, by tam przy dźwiękach skocznej muzyki, suto zastawianych stołach i w towarzystwie najpiękniejszych dziewczyn, mogli mile spędzać chwile wolne od „pracy”. Zdarzyło się jednego dnia, kiedy to przebywali w karczmie w Lasowicach, wiosce położonej o milę od Świerklańca, że „wpadła w oko” hersztowi zbójców najładniejsza z dziewcząt.

Opryszkowie zauroczeni urodą dziewczyny i rozzuchwaleni nadmiarem wypitych trunków, uprowadzili ją do swego siedliska. Porwanej dziewczynie czyn zbójców nie przypadł jednak do serca. W czasie pierwszej nadarzającej się okazji, kiedy zbójców nie było w zamku, wymknęła się strażom i uciekła z niewoli. Mając kieszenie wypełnione fasolą, znaczyła nią drogę ucieczki. Tą samą drogą, lecz w odwrotnym kierunku, nadsiadło wojsko, które zdobyło siedzibę zbójników. Jak głosi legenda, na pamiątkę tego, że wojsko znalazło tajemniczy zamek nazwano go „Znajdkiem”.

Żmijowy młyn

Przeglądając stare, pokryte patyną lat górnśląskie mapy, które od początków XVIII wieku na dużą skalę zaczęły pojawiać się w oficynach zachodnioeuropejskich, zaskoczeni jesteśmy ogromem zmian, jakie zaistniały na naszej ziemi. Pojawiło się wiele nowych miast i miasteczek, zbudowano szereg obiektów przemysłowych, poprowadzono nowe szlaki komunikacyjne. W tym samym czasie znikło niemało osad, wiele z nich wchłonęły rozrastające się miasta czy osiedla, po wielu trudno dziś szukać w terenie śladu ich materialnej egzystencji.

Próżno byłoby także szukać pozostałości po dawnych, gęsto usianych na brzegach naszych nielicznych rzek i strumieni, młynach wodnych i innych obiektach przemysłowych. Pamięć o nich funkcjonuje często i wyłącznie w ludowym przekazie, niejednokrotnie powiązanim z wątkami fantastycznymi. Tak też jest ze „Żmijowym młynem”, położonym gdzieś pomiędzy Zabrzem a Biskupicami na brzegu Bytomki, przez Długosza zwanej Kaczawą, po którym czas zatarł ślad.

W dawnych wiekach, kiedy dzisiejsze Zabrze było malutką wioską, zbudował był jeden z majątnych chłopów pięknej konstrukcji młyn, który jako siłę napędową potężnych kamiennych kół młyńskich wykorzystywał, jeszcze pełne wtedy ryb, wody pobliskiej Bytomki. Młynarz mieląc dobrą mękę i nie oszukując zasłynął w okolicy, czym dorobił się szerokiej klienteli.

Nie wiedzieć dlaczego i kiedy, młyn jak i jego otoczenie stały się jednak siedliskiem niezliczonej ilości żmij. Były one bardzo łagodne i nie czyniły nic złego mieszkańcom. Można powiedzieć, że żyły z rodziną młynarza w symbiozie. Duże ilości zgromadzonego zboża przyciągały całe stada gryzoni: myszy, szczurów, które to stanowiły znakomity przysmak dla żmij. Majątek młynarza jak i powierzone mu przez kmieci zboże były nietknięte. A i dzieci były zadowolone. Podczas gdy rodzice zajęci byli pracą w młynie lub polu, żmije wypełzały z

zakamarków, ze swych kryjówek, udawały się do kołyszek i tam wspólnie z małymi dziećmi się wygrzewały.

Wszystko było dobrze do czasu, kiedy młynarz zauważył, że jego młyn poczęło omijać wielu byłych klientów...

Pewnego razu, późną porą, zawitał do młyna młody wędrowiec, który głodny i spragniony poprosił o wieczerzę. W trakcie posiłku usłyszał obieżyświat historię „Żmijowego młyna” i obawy młynarza, że utraci także nielicznych już pozostałych jeszcze klientów, przestraszonych obecnością gadów.

Wędrowiec obiecał pomoc. Nazajutrz, skoro świt, rozpoczął wypytywać czy ktokolwiek z domowników, gości lub klientów widział może wężowego króla. Nosi on bowiem na swej głowce szczerozłotą koronę. Nikt jednak nigdy nie dostrzegł tej jakże charakterystycznej postaci. Uspokojony tą wiadomością, kiedy słońce sięgało zenitu, chłopiec poszedł w pola, gdzie poświęconą kredą narysował olbrzymich rozmiarów okrąg. Kiedy ponad polami poczęły unosić się dźwięki południowych dzwonów od św. Jana z Biskupic i św. Andrzeja z Zabrza, nieznajomy wszedł w środek narysowanego koła i wypowiedział w nieznanym języku tajemnicze zaklęcie.

W ułamku sekundy zewsząd: z młyna, domu, budynków gospodarczych, leśnych wykrotów, przybrzeżnych urwisk, z całej okolicy w stronę tajemnego okręgu pęzły żmije i węże, a kładąc na nim swe głowy zastygały jak nieżywe... Nagle na twarzy chłopca pojawiło się przerażenie, bo oto jako ostatni wypełził z młyna król żmij, który nie pokazując się ludziom przeżył tutaj długie lata. Na specjalne zaklęcie i ratunek było za późno. Z chwilą gdy żmijowy król przekroczył granice koła, magiczna siła okręgu przestała działać. Wędrowiec swój błąd przypłacił śmiercią, pożarty przez tysiące odczarowanych, rozszalałych gadów. Miejsce tragedii długie lata wskazywał święty obraz, powieszony na samotnej gruszy, rosnącej w pobliżu.

Dziecko i żmija

Jeszcze niedawno nasza górnośląska ziemia pokryta była gęstymi, bogatymi w przeróżne zwierzęta lasami. Wystarczy zerknąć tylko w nazewnictwo tarnogórskich dzielnic: Lasowice, Sowice, Bobrowniki, nie wspominając innych nazw miejscowości Białego Śląska. Trudno byłoby znaleźć w naszej okolicy namiastkę średniowiecznych borów tak barwnie opisanych choćby przez Henryka Sienkiewicza w „Krzyżakach”, czy Karola Bunscha w swym cyklu „Opowieści piastowskich”.

Dawno temu w okolicach Tarnowskich Gór, mieszkał drwał z żoną i malutką, jakże przez nich kochaną córeczką. Świata bez niej nie widzieli, bo Bóg im ją zesłał w podeszłym już wieku. Mimo iż bogactwo nie gościło w ich progach, szczęśliwi byli, a i córeczka nie kaprysiła. Nie mając zabawek jakimi nawet wiejskie dzieci były obdarowywane, nawet przyniesioną przez ojca szyszką potrafiła swój czas radośnie zapełnić. Najbardziej jednak uwielbiała zabawy w kątku kuchni, na odylinowanej podłodze. Lubiła tak dalece, że rodzice pozwolili, aby i tam mogła spożywać swoje posiłki.

Dziewczynka, jak głosi podanie, uwielbiała zupę z „nudlami” (kluski mieli z roladą i modrą kapustą tylko w niedzielę), nie zносиła kartofli. Z tego też powodu, matka mówiła jej: „Nie zjesz kartofli, jutro nie dostaniesz zupy”. Pewnego razu, w czasie posiłku, rodzice usłyszeli słowa córeczki, jak ta powielając słowa matki zwraca się do kogoś mówiąc: „...Jeżeli nie zjesz kartofli, jutro nie dostaniesz zupy”. Początkowo wybuchli śmiechem, jednak po chwili przerażenie zagościło na ich twarzy. Zauważyli bowiem, że z talerza dziewczynki resztki kartofli wyjada dużych rozmiarów żmija. Bojąc się spłoszyć gada, w bezruchu dotrwali do czasu, gdy ta wypęzła z domu, bojąc się, by ta nie uczyniła krzywdy dziecku. Następnego dnia, od wczesnych godzin ojciec obserwował okolicę domu. Około południa w promieniach słońca zauważył żmiję pełzającą w

stronę swego domu. Przygotowaną wcześniej siekierą uśmiercił gada.

W czasie obiadu dziewczynka była bardzo zaniepokojona, nie chciała jeść nawet swej ulubionej zupy, dopytując się czy rodzice nie widzieli jej ulubionej przyjaciółki, bowiem biednemu i głodnemu zwierzątku chciała dać jej ulubionej zupy. Gdy ojciec wyjawiał jej tragiczną w skutkach prawdę, że żmija nieżywa leży u progu domostwa, dziewczynka upadła na ziemię w swym kąciку i już nigdy nie wstała. W ten sposób drwał utracił nie tylko córeczkę, ale i swoją radość i szczęście.

Byk czy Rybka?

Niedawno na łamach „Gwarka” obserwowałem potyczki pomiędzy autorem a recenzentem opublikowanego albumu fotograficznego, dotyczącego Tarnowskich Gór. Uwagę moją zwrócił fragment sporu dotyczący legendarnych początków górniczej osady, która od kopalń czyli gór (hor) położona na gruntach Tarnowic, zwanych obecnie Tarnowicami Starymi, przyjęła nazwę początkowo Gór Tarnowskich, czyli obecnych Tarnowskich Gór.

W 1842 roku, Józef Lompa, w swych prowadzonych, a nie opublikowanych zapiskach, zwanych „Rozmaitościami Śląskimi”, przechowywanymi w Muzeum Etnograficznym w Krakowie, zanotował następującą wersję wydarzeń sprzed wieków:

„Szachty kruszczy śrybrnych przy Górach Tarnowskich przypadkiem odkryte były, gdy bowiem byk kawał, czyli bryłę kruscu wytoczył, który wędrowni saksońscy górnicy znaleźli, z trafunku tego baczyni będąc, dalsze śledztwa czynili. Tak to Tarnowskie Góry ryciu byka mają powstanie swoje do podziękowania”.

Ponad dwa stulecia wcześniej, w 1612 roku, spod pras drukarni Szymona Kempiniego w Krakowie, wyszła niezwykle cenna dla poznania bogatej przeszłości górnośląskiego przemysłu, końca

średniowiecza i początków czasów nowożytnych, książka: „Officina ferraria abo huta y warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego”.

Walenty Roździeński, zwany potocznie mistrzem Walentym, przytoczył w swym dziele następujący zapis, zatytułowany:

„O ZAGINIENIU KRUSZCA BYTOMSKIEGO A O NASTANIU GORSKIEGO”:

Jest w circumferencyej państwa bytomskiego
 Obfitość wielka rudy i kruszca srebrnego
 Jest i kamień pyrites, co tam czynią z niego
 Hałun, siarkę i farbę, koperwas do tego .
 Tym kruszczem przedtym Bytom, poki był nie zginął.
 Srebrnym był zwan Bytomiem i tak wszędy sływał,
 (...) potym skoro ustał
 Srebrny kruszec w Bytomiu, na gorach wnet nastał
 Iny zasię od kruszca w mili zalanego,
 Naleziony przez chłopą - Rybkę niejakięgo.
 (...) - bydła straconego
 Szukając - przerzeczony Rybka dnia jednego
 Natrafił pod wykrotą kruszec, który było
 Korznie z sobą na wierch ziemie wytargnęło”.

Kilka lat temu opublikowałem następujący spis (datowany na 1498 rok) wolnych chłopów Tarnowic, obecnej dzielnicy Tarnowskich Gór: „Jan Rakuz, Stanek Swinak, Grzegorz Gendin, JAN RYPKA, Jakub Larasska, Stassek Swirkoss, Michał Lopych, Mikolay Ziebro, Matiey Sowka ssoltis, Jakub Gnida zahradnik, Jan Slouik, Woytek Wiechcz ssoltis, Gurek Rygkotka, Bartek Rygkotka, Matiey Swoka zahradnik, Marti Piczura”.

Tajemnice Wieszowy

W północno-zachodnim narożniku byłego powiatu tarnogórskiego, przy prastarym szlaku handlowym prowadzącym z zachodu na wschód Europy, położona jest Wieszowa. Miejscowość w swym rodowodzie, sięgającym średniowiecza, wzmiankowana została dopiero w 1305 roku, natomiast kościół w 1376. Stary kościółek wieszowski nie dotrwał do naszych czasów. Rozebrany w końcu XIX wieku, ustąpił miejsca nowej, neogotyckiej świątyni wybudowanej w 1896 roku.

Z zachowanych zabytków, wart wspomnienia jest pochodzący z połowy XVII wieku pałac, który po przejściu w posiadanie rodu Henckel von Donnersmarck, wielokrotnie odnawiany zatracił swoje pierwotne cechy stylowe.

Z miejscowością związanych jest wiele legend, z których najbardziej pospolitą jest ta, nawiązująca do nazwy osady - Wieszowa.

Jeszcze niedawno ludzie, przy starej gliwickiej szosie za Wieszową, pod lasem, pokazywali miejsce gdzie stać miała szubienica, na której to ówczesny dziedzic wioski polecił powiesić swego poddanego chłopą. Ten to skarżąc się na panujący ucisk, miał w obecności „życzliwych” sąsiadów powiedzieć, że: „Pop drze chłopą jako szkopa, a pana jak barana”. Gdy wieść dotarła do dziedzica, odniosła wiadomy skutek: Pan się wściekł a chłop czym prędzej czmychnął na Śląsk austriacki, ratując swą głowę. Tęsknota do stron ojczystych, do bliskich, ośmieliła uciekiniera, który po kilkunastu latach powrócił, myśląc, że gniew dziedzica ułagodziły lata dobrowolnej banicji. Srodze się zawiódł, nie otrzymał łaski, a co gorsze, pochwycony „zadyndał” na szubienicy.

Po drugiej stronie osady, w stronę Stolarzowic i Rokitnicy, w lesie, znajduje się malownicza dolina, w której na powierzchnię

wydobywa się krystalicznie czysta woda. W tym to miejscu miał być przed tysiącem lat ośrodek pogańskiego kultu, po którym do dnia dzisiejszego nie pozostało najmniejszego śladu. Okoliczna ludność, ocembrowane w kształt studzienki źródło nazwała „Sarkanderquelle” czyli „źródło św. Sarkandra”. Tradycja wiąże bowiem tę krynicę z Janem Sarkandrem, urodzonym w 1576 roku w Skoczowie, a który miał w tym miejscu głosić przed swą męczeńską śmiercią ewangelię.

Nad źródłem znajduje się krzyż z Bożą Męką, który jak głosi stare podanie, wystawiony został przez pewnego wieszowskiego myśliwego. Ten to przez długi okres czasu męczony był nocami przez senne zmory dotąd, dopóki krzyża w tym miejscu nie postawił.

Inni twierdzą, że krzyż postawiono na pamiątkę zapadłej pod ziemię wioski, Jędrychowem zwanej. W miejscu gdzie studzienka się znajduje, miała przed wiekami stać chrzcielnica jędrychowskiego kościoła. Starzy ludzie powiadali, że szczególnie podczas nabożeństwa w Zielone Świątki, można spod ziemi usłyszeć dźwięki dzwonów zapadłego kościoła. Pamięć po nie istniejącej osadzie utrwalono nadając źródelku nazwę „Jędrychówka”.

Żywcem zamurowana

Jeszcze niedawno, bo w latach sześćdziesiątych, naprzeciw zabrzańskej huty, zwanej dawniej hutą Donnersmarcka, stał dom, na którego fasadzie umieszczona była rzeźbiona postać młodej kobiety, o której starzy ludzie mówili, że to podobizna córki Zabrzezkiego, nieszczęsnej dziewczyny, żywcem zamurowanej. A było to tak:

Bardzo dawno temu za zasługi w walkach z najazdem czeskim na ziemię śląskie, rycerz Zabrzezki otrzymał od króla polskiego kawał ziemi nad rzeką Kaczawą, zwaną obecnie Bytomką. W

centrum swych rozległych ziem postawił zamek, w którym zamieszkał wraz z kochającą żoną i przecudnej urody córeczką Marysią. Szczęście nie trwało długo. Jak wszystkim wiadomo, średniowiecze to okres okrutnych wojen i nie mniej zabójczych epidemii. Tam gdzie przeszła „czarna śmierć”, straszna choroba, próżno byłoby szukać żywego człowieka. Choroba nie wybierała.

W ten sposób stracił też żonę Zabrzski, a Marysia matkę. Rozpacz była wielka, a i zapewnienia, że inna kobieta nie zagości już w sercu Zabrzskiego. Bajaj, bajaj. Zabrzski jak to chłop, w czasie jednej ze swych zagranicznych misji poznał kobietę obcego plemienia i - odbył się ślub, o którym opowiadano nawet w odległych krainach. I znów szczęście nie trwało długo. Zabrzski, jako osoba do specjalnych zadań króla polskiego, często na dłuższe okresy opuszczał Zabrze, wypełniając zlecone mu zadania. W tym czasie młoda żona nudząc się i nie mając niczego do roboty, zakochała się w jednym ze swych dworzan, Szyndlerze, który w krótkim czasie stał się zarządcą dóbr Zabrzskiego. Tajemnicy nie dało się dochować przed Marysienką, więc zakochana para postanowiła pozbyć się niewygodnej dziewczyny. Marysia, odurzona ziołami, prawie nieżywa, zamurowana została w podziemiach zabrzskiego, swego rodowego zamczyska. Sprawcy rozpuścili wiadomość, że dziewczyna zmarła nagle, nabawiwszy się nieznannej choroby. Zabrzski gdy się o tym dowiedział, omal nie oszalał z bólu po stracie swej jedynaczki. Wybrał się do Ziemi Świętej, by tam w walce z niewiernymi znaleźć śmierć i ukojenie.

Tymczasem w zamku w Zabrze rządy sprawował Szyndler nie wiedząc, że Marysia żyje. Murarz zostawił bowiem jedną cegłę bez zaprawy i dziurą tą zaufana kobiecina podawała dziewczynie żywność i napoje.

Zabrzski natomiast, po różnych perypetiach powrócił na Górny Śląsk, nieświadom grożącego mu niebezpieczeństwa. Ostrzeżony w porę, zebrał swych przyjaciół, w przebraniu

przybył na swój dwór. Gdy się zorientował, że to, co opowiadali mu dobrzy ludzie jest prawdą, uwolniwszy swą córkę z ciemnicy, pojmał Szyndlera i swoją niewierną żonę. Jeszcze tego dnia odbył się sąd, wyrokiem którego, nazajutrz, skoro świt Szyndler wraz ze swą kochanką ponieśli śmierć, rozszarpani przez cztery pary zaprzęgniętych koni.

Powyższa legenda, stała się w drugiej połowie ubiegłego wieku, kanwą do napisania powieści, przez Karola Miarke. Ta niezwykle poczytna książeczka, doczekała się wielu wydań i jeszcze większej ilości inscenizacji w teatrach amatorskich na Górnym Śląsku.



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000777676



II 932882

